

J

E

J



PENELOPE BLOOM

ALBATROS

Tytuł oryginału:
HER SECRET

Copyright © 2019 by Publishing Bloom LLC
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Piotr Królak 2020

Redakcja: Marta Gral

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Penelope Bloom

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Kasia Meszka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



1. Violet

Lubię myśleć o swoim życiu jak o szeregu decydujących momentów. Były w nim pozytywne chwile, na przykład kiedy po raz pierwszy otworzyłam *Harry'ego Pottera i kamień filozoficzny* albo kiedy dowiedziałam się, że urodzę dziewczynkę. Były także te gorsze, ale nauczyłam się w wymyślny sposób radzić sobie z nimi – zamykam je w butelce. Za każdym razem, gdy zbyt wstrząśnięta butelka grozi wybuchem, dokręcam nakrętkę jeszcze mocniej.

Wciąż nie wiedziałam, czy rozpoczynający się właśnie dzień będę mogła zaliczyć do dobrych decydujących momentów, czy też trafi on do osobnej butelki, którą wrzucę do najciemniejszego zakątka swojego umysłu.

Dzisiaj miałam spotkać setki pisarzy na nowojorskich targach książki i choć z wielką chęcią wybrałabym się tam, by bezwstydnie gapić się na swoich ulubionych autorów albo chodzić za nimi, w ten weekend zamierzałam pracować. Pisarze muszą promować swoje dzieła, a promocja to coś, dzięki czemu płacę rachunki.

Przynajmniej w pewnym stopniu. Studiowałam reklamę w college'u, miałam wiedzę i zapał do ciężkiej pracy, ale nie mogłam się pochwalić długą listą klientów. To się jednak miało zmienić – jeśli w ten weekend wszystko pójdzie zgodnie z planem.

W swoim kalendarzu zaznaczyłam te dwa dni wielkim, pękatym czerwonym sercem. A właściwie czymś, co bardziej przypominało jabłko, bo beznadziejnie rysuję – ale ważne, że ja wiedziałam, co to miało być. Gdybym należała do ludzi, których życie wypełniają ważne plany i spotkania, spędziłabym cały miesiąc, przekładając je i upewniając się, że będę miała wolny weekend. Targi takie jak te odbywały się w całym kraju, ponieważ jednak nie miałam pieniędzy ani czasu na podróże, musiałam wycisnąć ile się da z tych nowojorskich.

Jak zwykle jednak los postanowił kopnąć mnie w pizszel i napluć mi do kawy.

Moja mama zachorowała na coś, co nazwała „zarazą”, i w typowym dla siebie stylu przekazała mi na ten temat o wiele więcej informacji, niż potrzebowałam. Cokolwiek zjadła, natychmiast „wylatywało z niej oboma końcami”, a dzisiaj rano „wykrztusiła coś, co być może miało puls”.

Nie mogłam sobie pozwolić na opuszczenie targów, więc zrobiłam, co się dało, żeby w motywacyjnej przemowie wytłumaczyć mojej córce Zoey, jak ważne to dla mnie wydarzenie. Jej oczy zaszkliły się i były trochę rozbiegane, dopóki nie wspomniałam o zakładkach do książek. Z bliżej nieznanego powodu przedmioty te działały na jej czteroletni mózg jak narkotyki. Była gotowa zrobić wszystko, by zdobyć następne i dołączyć je do

swojej kolekcji przechowywanej w pudełku na lunch. Potrafiła nawet zabierać je ze sobą do łóżka.

Podobnie jak ja, miała skłonność do poświęcania się każdemu nowemu hobby i zainteresowaniu z niemal przerażającą intensywnością. Najpierw było to tylko zbieranie książkowych zakładek, a jakieś sześć miesięcy temu postanowiła też zostać gwiazdą tenisa.

Lekko uścisnęłam dłoń Zoey. Za parę miesięcy skończy pięć lat, co wydawało mi się szaleństwem. Dopiero co była pulchnym maluchem, który wydawał z siebie najlepsze zwierzęce odgłosy, jakie w życiu słyszałam. W następnej chwili zdałam sobie sprawę, że Zoey rośnie. Naprawdę była coraz wyższa, a jej rączka stała się na tyle duża, że mogła splotać palce z moimi, choć jeszcze niedawno cała piąstka bez problemu mieściła mi się w dłoni.

Wciąż widziałam w niej ślady Dawsona, ale nie odczuwałam takiego smutku, jak się spodziewałam. Może ich podobieństwo aż tak mnie nie martwiło, bo przechowywałam cały sześciopak związanych z nim zakorkowanych i stłumionych wspomnień, do których już nigdy nie planowałam wracać. Zoey miała jego ciemne kręcone włosy, po mnie odziedziczyła oczy i charakterystyczne miny, ale wszystko inne było już tylko i wyłącznie jej. Długo się bałam, że będę czuła do niej niechęć, bo w jakiejś części należy do niego, ale kiedy tylko po raz pierwszy wzięłam ją na ręce, przestało mieć to jakiegokolwiek znaczenie. Zoey była po prostu Zoey. A ponieważ zostaliśmy tylko we dwie przeciwko całemu światu, kochałam ją jeszcze mocniej. Była moją małą dziewczynką i razem mogliśmy skopać wszystkim tyłki.

Przynajmniej w pewnym stopniu. Mówiąc szczerze, z pieniędzmi było krucho, a przyszłość nie zawsze wyglądała różowo. Robiłam jednak, co mogłam. Próbowałam zachować optymizm, choćby dlatego, że Zoey widziała już, jak jedno z rodziców odchodzi – musiała mieć pewność, że ja nigdy jej nie opuszczę.

– Chcę taką z tęczą – odezwała się nagle.

– Zakładkę z tęczą?

– I różową. I taką z kotkiem.

Uśmiechnęłam się szeroko.

– Założę się, że mają tam wszystkie zakładki. Musimy tylko poszukać i zobaczyć, co uda ci się znaleźć.

Oczy mojej córki rozbłyły. Czułam się trochę winna, że jest aż tak podekscytowana. To mi tylko przypominało, jak mało mamy pieniędzy. Kiedy nie jesteś w stanie kupować dzieciom nowych zabawek, musisz być kreatywna. Zakładkami Zoey zainteresowała się sama, ale to ja nauczyłam ją entuzjazmu do wycinanych z pudełek po płatkach postaci, które za pomocą kleju i patyczków po lodach przemieniałyśmy w figurki do zabawy. Nocami leżałam w łóżku, marząc o wszystkim, co pragnęłam jej dać: o lekcjach tenisa, prawdziwych zabawkach, domkach dla lalek i nowych ubrankach zamiast używanych ciuchów i innych drobiazgów wygrzebanych na wyprzedazach garażowych za mniej niż dolara. Chciałam zapewnić jej lepszy dom, w którym miałyby własny pokój. Pragnęłam dać jej cały świat, a świadomość, że nie mogę, raniła mi serce.

Na szczęście Zoey wciąż była na tyle mała, że nic z tego do niej nie docierało. Przynajmniej na razie. Nie

wiedziała, że może być inaczej, nie zdawała sobie sprawy, że jest nam ciężko. Na razie można było jej obiecać, że w pewnym dużym budynku znajdzie wiele zakładek do książek, i to wystarczało, by z cichym podnieceniem towarzyszyła mi w drodze do centrum targowego.

Odebrałyśmy bilety i skierowałyśmy się do wejścia. Budynek przypominał duży pączek połączony z coraz to mniejszymi pączkami. Pisarze siedzieli już przy stolikach, na których prezentowali swoje książki i leżały rozmaite upominki, a tłumy miłośników krążyły wokół nich.

Wzięłam głęboki oddech i przez parę sekund skupiałam myśli. Czułam, że to moja szansa. Gdzieś w tym budynku jest człowiek, który zatrudni mnie do promowania swoich książek. Musiałam w to wierzyć, bo alternatywą było dalsze osuwanie się w dół. Może nie szybki upadek na dno, ale wiedziałam, że zbliżamy się powoli do prawdziwej biedy. Nie takiej, z której ludzie pogodnie sobie żartują i którą przezwycięża się pozytywnym myśleniem, tylko do ponurej, brudnej biedy niepozwalającej zapalić w mieszkaniu światła czy włączyć gazu. Nie zamierzałam na to pozwolić. Zwłaszcza ze względu na Zoey.

Córka ciągała mnie od stoiska do stoiska, żeby sprawdzić, czy wśród darmowych materiałów promocyjnych nie ma jakichś zakładek, a ja korzystałam z okazji, by proponować swoje usługi marketingowe każdemu, kto tylko chciał słuchać.

– Jeśli jest pan zainteresowany – mówiłam, kończąc wystąpienie – proszę wziąć moją wizytówkę i skontaktować się ze mną. I proszę pamiętać: może pan wypróbować

moje usługi reklamowe za darmo, zanim zdecyduje się pan na współpracę.

Autor, młody facet, który wydał już kilka powieści fantasy, kiwnął głową w sposób zdradzający brak zainteresowania.

- Dzięki. Może wyślę ci mejla.

Przez następną godzinę spotykałam się z taką samą reakcją w dziesiątkach wariantów. Niektórzy pisarze uprzejmie tłumaczyli, że nie stać ich na wynajęcie konsultantki do spraw marketingu. Inni jawnie mnie lekceważyli. Część nieudolnie udawała zainteresowanie. Najbardziej pozytywną odpowiedź otrzymałam od kogoś, kto chciał wiedzieć, czy będę mogła nieodpłatnie pracować dla niego przez kilka miesięcy, by mógł się przekonać, czy warto we mnie zainwestować.

Zrobiłyśmy sobie przerwę, kiedy tylko przebrnęłyśmy przez większość stolików mniej znanych autorów z głównej hali. Centrum targowe miało też kilka skrzydeł, gdzie swoje książki promowali twórcy literatury popularnej różnych gatunków, ale moim prawdziwym celem był główny krąg stoisk. To tam wystawiali się najpoczytniejsi pisarze. Zdawałam sobie sprawę, że aby choć trochę poprawić naszą sytuację finansową, powinnam podjąć współpracę z co najmniej kilkoma mniej głośnymi nazwiskami. Złowienie jednej dużej ryby byłoby natomiast niczym wygrana na loterii. Obecnie moim jedynym źródłem zarobku było pięć małych niezależnych firm, które zdołałam przekonać do swoich usług. Od każdej pobierałam tę samą miesięczną stawkę za zarządzanie kampaniami promocyjnymi. Reklamy opłacali sami – ja

dostawałam pieniądze za swój czas i wiedzę.

Wystarczyły akurat na zapłacenie rachunków, ale ciągle traciłam klientów i musiałam usilnie starać się o nowych. Kiedy przedsiębiorstwo się rozrastało, nawiązywało zazwyczaj współpracę z prawdziwą agencją reklamową. A znalezienie małej firmy, która chciała zainwestować pieniądze w marketing poprzez niezależnego konsultanta, takiego jak ja, było, mówiąc delikatnie, trudne. Miałam świadomość, że większość czasu spędzam na wyszukiwaniu nowych klientów, a nie promowaniu tych, z którymi już współpracowałam.

I tak znalazłam się tutaj. Zawsze skrycie marzyłam o posadzie na rynku wydawniczym. Jako wieloletniej zapalanej czytelniczce nic nie wydawało mi się bardziej romantyczne niż wizja codziennej pracy w świecie książek. Gdyby udało mi się zwrócić uwagę choćby jednego popularnego autora, mogłabym przestać krążyć codziennie po mieście i błagać, by ktoś mnie zatrudnił.

Zoey bardzo skrupulatnie przyglądała się każdej zakładce, po czym dołączała ją do zebranej już kolekcji. Nagle jej oczy powędrowały ku zamieszeniu przy wejściu do budynku. Podążyłam za jej wzrokiem i zobaczyłam grupę ludzi idących w naszym kierunku. Powiększające się grono fanów szło ich śladami – z każdą sekundą było ich coraz więcej.

W ostatniej chwili przyciągnęłam Zoey do siebie i uchroniłam przed tym, by porwał ją napływający tłum. Ciżba otaczająca przybysza nie pozwalała mi nawet rozpoznać, kto to jest. Przez moment widziałam tylko ciemnowłosego mężczyznę w garniturze, zmierzającego

ku środkowi hali. Był wysoki. I to wysoki w pozytywnym znaczeniu – proporcjonalnie zbudowany, szeroki w ramionach, duży. Uznałam, że musi to być ochroniarz, bo z pewnością nie wyglądał na pisarza.

Kiedy nas minęli, dotknęłam ramienia stojącej w pobliżu kobiety.

– Przepraszam, kto to był? – zapytałam.

– Peter Barnidge.

– Ten Peter Barnidge?

Kobieta przytaknęła. Nadal patrzyła za grupą z tęsknym wyrazem twarzy.

– Wiele bym dała, żeby... – w tym momencie zauważyła Zoey i ugryzła się w język – polukrować jego ciasteczka – dokończyła z lekkim wahaniem, jakby wyrzucała z siebie pierwsze słowa, które przysły jej do głowy. Po wyrazie jej oczu poznałam jednak, że zamierzała podzielić się ze mną jakąś bardzo pieprzną fantazją.

Zoey zachichotała.

– Ciasteczka? Cooo?

Wyszczrzyłam zęby w uśmiechu. Kiedy jestem rozkojarzona, mam niedobry zwyczaj mówienia „Cooo?” dokładnie tak, jak przed chwilą Zoey. Jest to charakterystyczny dla mnie rodzaj monotonnego, sarkastycznego dźwięku i za każdym razem, gdy słyszę go z ust swojej czteroletniej córki, mam ochotę się roześmiać. Jedną z niedocenianych zalet rodzicielstwa jest delikatne przyuczanie dzieci do używania niewinnych, ale trochę dziwnych wyrażań.

– Wybacz – powiedziała do mnie bezgłośnie kobieta.

Wkrótce zobaczyłyśmy, że ekipa Petera Barnidge’a

rozstawia dla niego cały pawilon, łącznie z dużym stołem, ekspozycją ostatnich książek, gadżetami promocyjnymi, a nawet czymś w rodzaju składanej dekoracji za jego plecami, która w razie potrzeby zapewniała mu komfortowe prywatne przejście do tylnych drzwi za stoiskiem.

Trzymając Zoey za rękę, układałam w myślach plan ataku. Szukałam słabych punktów otaczającej go fortyfikacji. Pojedyncze drzwi, z przodu ochrona. Prawdopodobnie można też było przemknąć od tyłu, przez pomieszczenie utworzone po postawieniu ścianki działowej.

Jeden z pracowników niechcący zrzucił kosz z gadżetami promocyjnymi z przygotowanego dla Petera stołu. Patrzyłam, jak spada – miałam wrażenie, że dzieje się to w zwolnionym tempie. Kosz dostojnie leciał w stronę podłogi i stopniowo się przechylał. Sekundę przed uderzeniem o podłogę wypadła z niego zakładka do książki, zawirowała w powietrzu i z wielką gracją wsunęła się pod drzwi składanej dekoracji, znikając nam z oczu.

Zanim się zorientowałam, Zoey uwolniła rączkę z mojego uścisku i bez wahania ruszyła w tamtą stronę.

– Zoey! – syknęłam uniwersalnym matczynym tonem, zarezerwowanym dla chwil, kiedy nie chcesz być osądzana jako zły rodzic, ale twoje dziecko sprawia, że właśnie na takiego wyglądasz.

Nie mogła mnie słyszeć ze względu na gwar podekscytowanych fanów czekających, aż Peter usiądzie przy swoim stole. Pospieszyłam za nią, ale jej krótkie, szczupłe nóżki były szybkie, a poza tym miała tę przewagę, że mogła przeciskać się między nogami dorosłych,

podczas gdy ja musiałam ich omijać, rzucając przez ramię nieustanne „Przepraszam”.

Członek obsługi otworzył drzwi w najbardziej niewłaściwym momencie – chociaż podejrzewam, że Zoey nie zgodziłaby się z tym stwierdzeniem – i moja córka wślizgnęła się za nim w pogoni za upatrzoną zakładką. Na szczęście mężczyzna zauważył, że próbuję ją złapać, i ze współczującym uśmiechem mnie przepuścił.

Znalazłam się w wydzielonej przestrzeni nie większej od domowego salonu. Zobaczyłam następne drewniane drzwi prowadzące do innej części centrum targowego, a także szereg pudeł wciąż nierozpakowanych przez ekipę Barnidge’a. Zoey trzymała już w ręce niesforną zakładkę, a na twarzy miała uroczy uśmiech, który sprawiał, że nie sposób było się na nią gniewać.

– Przepraszam – wymamrotałam do wszystkich obecnych w pomieszczeniu. Ruszyłam w kierunku Zoey, ale w tym momencie otworzyły się drugie drzwi i zanim zdążyłam zareagować, zderzyłam się z kimś dużym i masywnym.

Mężczyzna trzymał w ręce teczkę pełną laminowanych kartek, które w jednej sekundzie rozsypały się na wszystkie strony. Rzuciłam się na kolana, by pomóc je zebrać, i po chwili wręczyłam mu plik stron pomazanych czerwonym flamastrem. O ile potrafiłam się domyślić, były to wydruki jakichś tekstów z naniesionymi poprawkami.

Zamierzałam właśnie wstać, gdy zauważyłam karteczkę samoprzylepną, przyklejoną do podłogi pod papierami, które właśnie podniosłam. Oderwałam ją i próbowałam przekazać mężczyźnie, ale on patrzył już

na kogoś z personelu za moimi plecami. Bez większego namysłu złożyłam ją i wcisnęłam do swojej torebki.

– Co tutaj robi jakaś fanka? – warknął nieznajomy. Jego głos był głęboki i tak dźwięczny, że dosłownie poczułam go w piersi.

To wtedy tak naprawdę zobaczyłam go po raz pierwszy. Człowiekiem, z którym się zderzyłam, był Peter Barnidge.

Reportażyci nigdy nie interesowali mnie w takim stopniu jak autorzy powieści, ale wiedziałam, że jest znany ze swojej atrakcyjności. W końcu pisarze, którzy wyglądają jak modele, zdarzają się rzadko, a on miał zastęp fanów, nawet wśród ludzi, którzy nie przeczytali ani jednego napisanego przez niego słowa. Nie zdawałam sobie natomiast sprawy, że jest tak imponujący i wysoki. Nie chodziło tylko o oczywiste zalety jego wyglądu. Owszem, miał gęste, nastroszone brwi, świdrujące spojrzenie i kilkunastocentowy zarost, na których widok każdej kobiecie zrobiłoby się słabo. Było w nim jednak coś jeszcze. Roztaczał wokół siebie pewną atmosferę. Był panem swojego świata. I nie trzeba było widzieć całego zespołu biegających wokół niego asystentów, aby to zrozumieć.

Wystarczyło tylko spojrzeć na jego oczy i mocny zarys szczęki, by mieć pewność – to nie był człowiek, którego łatwo zadowolić. I nie zamierzał tego ukrywać. Nie sądzę, bym kiedykolwiek wcześniej spotkała mężczyznę, który wyglądałby na tak nieosiągalnego – przynajmniej osobiście. Równie dobrze mógł być ukryty za kuloodporną szybą i drutem kolczastym. Jestem pewna, że nawet wtedy całe rzesze kobiet bez nadziei, ale z radością rzucałyby się na otaczające go mury.

Nie dotykaj. Nie podziwiał. W ogóle o nim nie myślał, Violet, bo jest tak bardzo poza twoim zasięgiem, że nie pozwoliłby ci wstąpić do swojego fanklubu.

Nawet jego ubrania wydawały się nim tak onieśmiałe, że nie śmiały się zgnieść czy zagiąć nie w tym miejscu co trzeba. Koszula, krawat, marynarka i spodnie – wszystko w idealnie uzupełniających się odcieniach granatu i szarości – przylegały do jego ciała w taki sposób, że trudno było oderwać wzrok.

– Przepraszam, ja tylko...

Zaczęłam się rozglądać za Zoey i zobaczyłam, że uciekła parę metrów dalej, by słodziutkim głosem przekonać młodą dziewczynę z obsługi do pokazania jej dopiero co otwartego pudełka z zakładkami.

– Czy mam ją osobiście wyrzucić?

Nie podniósł głosu, zadając to pytanie, ale w jego tonie słychać było ostrzeżenie tak wyraźne, że podziałało jak smagnięcie batem. Każda sylaba wybrzmiewała bezdenną pogardą dla osoby, do której została skierowana.

Cały zespół złożony z czterech mężczyzn i jednej kobiety zaczął w pośpiechu kierować mnie w stronę wyjścia z małego prowizorycznego pokoju.

– Chwileczkę – zaprotestowałam. – Sama trafię do drzwi. Ale czy mogę tylko przekazać panu to? – Drżącymi palcami wyciągnęłam swoją wizytówkę i podałam mu ją. – Nazywam się Violet. Zajmuję się reklamą wszelkiego rodzaju działalności i...

Spojrzał na wizytówkę, jakbym podsunęła mu pod nos zużyta chusteczkę. Nie przejmując się ani trochę, czy trafi, odrzucił ją na najbliższe krzesło.

– Jeśli moja kariera kiedykolwiek poszybuje w dół tak bardzo, że będę rozważał zatrudnienie konsultantki do spraw marketingu, która urządziła na mnie zasadzkę podczas targów książki, będzie pani pierwszą osobą, do jakiej się zwrócę. Na razie jednak proszę mi wybaczyć. – Przeszedł obok, nie zaszczycając mnie już nawet jednym spojrzeniem.

Miał czelność zostawić po sobie unoszącą się w powietrzu smugę zapachu bliżej nieokreślonej wody kolońskiej. Duppek. Nawet jeśli pachniał namiętym, nieskrępowanym seksem w jedwabnej pościeli, był dupkiem najgorszego sortu. Kogo obchodzi, że jego perfekcyjnie równe białe zęby przywodziły na myśl obraz naszych nagich ciał, splecionych ze sobą, w chwili kiedy on gryzie mnie w ramię, a ja dyszę z bólu i rozkoszy. Mnie z pewnością nie obchodziło to w ogóle.

Gdy wyszedł z pomieszczenia, mój umysł w końcu odzyskał jasność. Przynajmniej do pewnego stopnia.

Jezu Chryste. Muszę przyznać, że minęło trochę czasu, odkąd ostatnio coś się u mnie zadziało w tym względzie, ale sposób, w jaki reagowało na niego moje ciało, był zupełnie niecodzienny. Nigdy nie byłam lubieżna, nawet w czasach Dawsona.

Niestety, byłam za to uparta. Odkąd pamiętam. Więc jeśli Peter Barnidge naprawdę chciał, żebym się poddała, powinien był uprzejmie podziękować i powiedzieć: nie. Obrażając mnie i dyskredytując, zaproszył ogień, który od razu rozwinął się w trawiący wszystko pożar. Postanowiłam za wszelką cenę udowodnić mu, że się myli – i prawdopodobnie ta decyzja nie miała nic wspólnego z

tym, jak wyglądał. Prawdopodobnie.

– Naprawdę musi pani już iść – powiedział jeden z pracowników.

Wyciągnąłem rękę, by pokierować mnie do drzwi, ale się uchyliłam.

– Nie ma potrzeby, trafię do wyjścia – burknęłam, a potem odwróciłam się do córki i zmusiłam do uśmiechu.

– Chodź, Zoey, mama musi wrócić do domu i popracować.

Ponieważ mama musi dać nauczkę nadętemu dupkowi.

LILITH ZE SCEPTYCZNYM WYRAZEM TWARZY SIEDZIAŁA NA MOJEJ sofie.

– To jest twój plan? – zapytała.

– Tak. To znakomity plan.

Trzymałam w ręce kartkę, na której wyrysowałam bardzo szczegółowy diagram ukazujący, jak stworzona przeze mnie kampania reklamowa udowodni Peterowi Barnidge'owi, że zasługuję na to, by dla niego pracować. A kiedy przyjdzie do mnie na kolanach błagać, by tak się stało, powiem mu, że może się wypchać. Taki w każdym razie był plan.

Lilith wskazała na fragment wspominający o „superodlotowej reklamie viralowej”. Chrupała głośno korniszony i wyglądała na znudzoną, ale prawdę mówiąc, zawsze sprawiała takie wrażenie.

– Co z tą częścią planu? Czy wszystkie te strzałki i chmurki nie są trochę nieistotne, dopóki nie masz superodlotowej reklamy viralowej?

– Coś wymyślę. – Chwycałam kartkę i położyłam ją przy laptopie.

Sofa zaskrzypiała, gdy Lilith nachyliła się w moją stronę.

– Czy to, że tak obsesyjnie o tym gadasz, znaczy, że targi były niewypałem?

O dziwo, brzmiało to tak, jakby faktycznie się martwiła. Przyjaźniłam się z Lilith od kilku miesięcy, odkąd poznałyśmy się na zajęciach gorącej jogi. Obie byłyśmy tam pierwszy raz i okazałyśmy się jedynymi osobami na sali, które oblewanie się potem przy próbach wsadzenia sobie palców stóp do nosa uznały za niezbyt dobry pomysł.

Była żoną nieprzyzwoicie bogatego i przystojnego faceta o imieniu Liam. Za sprawą męża, a także byłego szefa, również nieprzyzwoicie bogatego i przystojnego faceta o imieniu William, obracała się w kręgach małej armii olśniewających miliarderów i ich żon. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam ich zgromadzonych w jednym pokoju, zachciało mi się śmiać. Miałam wrażenie, że wszystko powinno dziać się w zwolnionym tempie, przy dźwiękach smooth jazzu z pornosa sączących się z głośników. Czułam się trochę jak na planie jednego z tych reality show, do których zaprasza się tylko obłądnie atrakcyjnych ludzi, no i jeszcze kamerzystów.

Patrząc na Lilith, nigdy bym nie zgadła, że należy do tak specyficznego towarzystwa. Dzisiaj miała na sobie czarne spodnie dresowe oraz czarną bluzę z kapturem, ozdobioną na piersi brokatowym różowym jednoróżcem. Lubiła nasuwać kaptur na głowę, jakby próbowała za

wszelką cenę przekonać cały świat, że nie jest piękna. W rezultacie wyglądała jak jakaś mroczna, zdeprawowana księżniczka. Potrafiłam zrozumieć, dlaczego jej mąż jest nią tak zafascynowany.

Zazwyczaj spotykałyśmy się u mnie, a jej przyjaciół miliarderów widywałam tylko wtedy, kiedy zaciągała mnie na którąś z ich eleganckich imprez.

Zastanowiłam się nad jej pytaniem. Szczera odpowiedź była taka, że targi książki okazały się całkowitą, niekwestionowaną porażką. Mniej znani pisarze nie wykazali niemal żadnego zainteresowania usługami reklamowymi, a ci popularni bez wyjątku wydawali się umiarkowanie poirytowani, gdy bombardowałam ich swoją ofertą. Nie miałam jednak ochoty podawać szczerej odpowiedzi, zwłaszcza że Zoey bawiła się w pobliżu. Trzymała jedną z dziecięcych rakiet tenisowych, które jej kupiłam, i z zapalem waliła biedną, zmaltretowaną piłką o ścianę. Najwyraźniej trenowała przede wszystkim stękanie, bo w połowie przypadków nie trafiała w piłkę, ale przy każdym wymachu wydawała z siebie imponujące gardłowe odgłosy.

– Targi były w porządku. Myślę, że znalazłam paru klientów.

– Więc dlaczego tracisz czas na to, co mi pokazałaś, zamiast zajmować się projektami, za które ci płać?

Spiorunowałam ją wzrokiem, głównie dlatego, że przejrzała na wylot moje kłamstwa. Wykrywacz ściemniał u Lilith bezbłędnie, o czym powinnam była pamiętać, zanim zaczęłam bajdurzyć o zainteresowaniu moją ofertą. Nie powstrzymało mnie to jednak przed

dalszymi próbami.

– To po prostu taki projekt na boku. I tyle.

Lilith spojrzała na mnie kpiąco.

– Projekty na boku nie wymagają chyba oznaczonych kolorami planów taktycznych? I jeszcze ten upiorny błysk w twoich oczach, kiedy mówiłaś o odrzuceniu propozycji współpracy, którą rzekomo ma ci złożyć ten facet. Brakowało tylko złowieszczego śmiechu komiksowego superzłoczyńcy.

– Okej. Masz rację. Być może faktycznie zalał mi za skórę.

– Delikatnie mówiąc. Brzmi to raczej, jakby kazał ci smarować skórę balsamem, by za kilka dni móc ją na siebie włożyć. Zalał ci za skórę jak prawdziwy Buffalo Bill.

– Stanowczo przesadzasz – powiedziałam ze śmiechem.

– Kto to taki Buffalo Bill? – zapytała Zoey.

– Buffalo Bill – zaczęła tłumaczyć Lilith – to taki dziwny bohater filmu, który...

– Który kochał bizona tak bardzo – przerwałam Lilith, posyłając jej lodowate spojrzenie – że znajomi zaczęli na niego mówić Buffalo Bill*.

– Lilith powiedziała, że był dziwny. Dlaczego?

– Ponieważ...

Kopnęłam Lilith w łydkę.

– ...był lunatykiem – dokończyłam szybko. – Ludzie robili się przez to trochę nerwowi, ale nie było w tym nic

* *Buffalo* (ang.) – bawół, bizon.

straszego.

– Och. Okej. – Zoey odwróciła się do ściany, machnęła rakieta i spudłowała tak bardzo, że obróciła się wokół własnej osi i z głębokim stęknieniem klapnęła pupą na podłogę.

Lilith szczyrzyła do mnie zęby.

– Spokojnie, nie zamierzałam opowiedzieć jej o tym psycholu z *Milczenia owiec*.

– Dziwisz się, że tego się spodziewałam?

– Właściwie to nie. Ale jesteś taka nadopiekuńcza...

To całkiem zabawne patrzeć, jak się wkurzasz.

– Skoro już mówimy o nadopiekuńczych osobach: zastanawiałam się, czy mogłabym poprosić Liama o pewną przysługę.

– Czyżbyś w końcu zamierzała pozwolić sobie pomóc? Aha, i Liam nie jest nadopiekuńczy. Po prostu ma skłonności do agresywnego zachowania, kiedy zagadują do mnie jacyś mężczyźni.

– Chciałabym, żebyście mi pomogli, ale w trochę inny sposób.

Lilith i Liam próbowali wesprzeć mnie finansowo już parę tygodni po tym, jak się poznaliśmy. I chociaż bardzo chciałam skorzystać z ich propozycji, głównie po to, by móc podarować więcej swojej córeczce, bałam się, że prędzej czy później skazę Zoey na rozczarowanie. Uszczęśliwiała ją to, co miałyśmy, bo nie zdawała sobie sprawy, że mogłoby być lepiej. Gdyby Lilith i Liam zaczęli zasypywać ją prezentami, musiałabym od nich oczekiwać, że już stale będą sprawiać jej radość, którą ja mogłam jej zapewnić zakładką do książek albo parą nożyczek

i pudełkiem po płatkach śniadaniowych. W ten sposób wpoiłabym jej same najgorsze nawyki. Pragnęłam, żeby była silniejsza. O wiele silniejsza ode mnie.

– Nie chodzi o pieniądze. Raczej o to, by wykorzystać fakt, że całe tabuny napalonych kobiet obserwują niczym sępy każdy jego gest, gdy tylko pojawi się w wiadomościach.

Lilith uśmiechnęła się szelmowsko.

– Mogą sobie stanąć w kolejce. Jestem bardziej napalona od którejkolwiek z nich.

– Napalona? – powtórzyła pytająco Zoey.

Skrzywiłam się. Powinna zacząć się przyzwyczajając, że podchwytuje z naszych rozmów coraz więcej. Jeszcze kilka miesięcy temu przebywała w swoim własnym świecie, a tematy dorosłych nie były w stanie jej zainteresować. Ostatnio miałam wrażenie, że wszystko ją ciekawi.

– Twoja mama cierpi na rzadką chorobę, glutku – powiedziała Lilith. Uparcie zwracała się do Zoey najbardziej obleśnymi zdrobnieniami, jak „glutek” czy „dziabąg”, ale moja córka to uwielbiała. – Jednej na dwadzieścia milionów osób na świecie wyrastają prawdziwe rogi. Ale nie martw się, można to wyleczyć.

Oczy Zoey rozszerzyły się ze zdumienia.

– Lilith tylko żartuje – wyjaśniłam. – Ale nie bardzo jej to wychodzi.

– Nie, ludziom naprawdę wyrastają czasem rogi – brnęła Lilith. – Zazwyczaj tylko jeden. Przekonaj się sama. Moją babcię to spotkało.

– Jakoś mnie to dziwi.

– Wracając do twojego wielkiego planu... Kiedy zaczniesz go realizować?

Westchnęłam i spojrzałam na projekt, który rozrysowałam na kartce. Lilith miała rację co do jednego. Wszystko zależało od dobrej reklamy. Kiedy już ją wymyślę, będę wiedziała, co robić dalej. Zanim jednak dotrę do tego etapu, czeka mnie jeszcze sporo główkowania.

– Niedługo – odparłam. – To znaczy, kiedy tylko Liam zgodzi się mi pomóc.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).